

# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

31

(Ciąg dalszy).

— Nie przeczę.  
— I do czego ciągną latanka doprowadzi?  
— Nie wiem jeszcze do czego.  
— Miałabyś śmiałość wypowiedzieć wojnę synowi Piotra Molskiego... i tym sposobem całe sądownictwo na siebie obruszyć?! W jakim celu?... No, no! zastanów się i puść w trąbę głupią sprawę. Wszakże tylko podejrzewasz, a dowodów nie masz żadnych.

— Tak, nie mam żadnych.  
— W takim razie, na co leziesz w błoto? Możesz być miejsca pozbawiony. Nagonią cię, jak psa, który węch stracił. Nie jesteśmy obaj młodzi i znamy się od dawna, więc mi cię żal. W razie wypędzenia nie znajdziesz nigdzie kawałka chleba, bo przecież rozumiesz, że nad nami nikt się nie ulituje.

— Mówisz rozsądnie... a jednak... — odparł Piperstein drżącym głosem — coś mnie do tej sprawy ciągnie. Wiem, że jestem bezsilny, że jak garnek gliniany rozbić się mogą o żelazne kociołki, jakimi są panowie sądownicy, lecz, powtarzam, coś mnie ciągnie do wykrycia prawdy.

— Waryat jesteś! Daj wszystkiemu za wygraną... a teraz idź spać, boś pewno dyabelnie zmęczony.

— Ba!... żebyś wiedział...  
— Cóż znowu?  
— Oto dziś w nocy przelazłem przez parkan i zakradłem się do ogrodu w willi pani Molskiej.  
— Czyś oszalał?!... O, stary, stary! mogłeś kulka w łeb dostać.

— Niezawodnie!... To też innym razem czegoś podobnego nie zrobię.

— Ruszajże wypocząć!... albo, jeśli wolisz, wyciągnij się na tej kanapie i chrapnij.

— Dziękuję. Znam niedaleko stąd zajazd żydowski, pójdę do niego się przespać.

— Czy masz broń przy sobie?  
Piperstein wyciągnął z jednej i drugiej kieszeni dwa sześciostrażkowe rewolwery małego kalibru.

— Mam czem pluć w oczy panom nożownikom, gdyby który chciał mnie zaczepić. Bądź zdrow! Zobaczymy się wieczorem w policyi.

## V.

Na dworcu kolei żelaznej w Lublinie oczekiwał wygalowany lokaj na znanego nam dobrze młodego malarza. Artysta, wysiadłszy z wagonu, stał na peronie, trzymając pod pachą składane i starannie owinięte czerwoną taśmą stalugi, w ręku zaś spore pudełko z farbami. Rozglądał się wokoło. Przy nim położył posługacz kolejowy kosz i małą walizkę. Lokaj spostrzegł to wszystko i podbiegł.

— Czy to wielmożny pan ma jechać do Zahajec?

— Tak.  
— W takim razie, proszę iść za mną, konie już czekają.

Na placu za dworcem stał wykwintny faeton — zaprzężony w parę dzielnych, rasowych koni.

— Księżna pani sądziła, że wielmożny pan chętnie przyglądać się będzie widokom, więc dlatego, z jej rozkazu, przyjechaliśmy po niego odkrytym powozem.

Dzień był prześliczny. Na stokach malowniczych, nie wysokich, gliniastych pagórków lubelskich, falowały szerokie i długie łany kwitnącej pszenicy. Tu i ówdzie na widnokręgu czerniały ciemną zielenością dębowe i sosnowe lasy. W dolinach, nad rzeką, leniwie toczącą swoje mętne wody, bieleły się chaty zamożnych wiosek. Z wyniosłości, po których wiał się często, nie zwirowa, lecz dosyć szeroka i wcale dobrze utrzymana droga, widać było w rozległych kotlinach szmaragdowe, równe, prawie gładkie łąki, nabite gęstą, bującą trawą i kwieciami rozmaitem. Powietrze przepełniała aromatyczna woń zbóż, lucerny i koni-czyny w pełnym rozwoju.

Piotrus nigdy nie widział wsi prawdziwej, znał bowiem tylko najbliższe, przeważnie płaskie i brzydkie okolice Warszawy, wszystko zatem, co go tu nagle otoczyło — urocze, nowe i nieznane — witał radosnym — prawdziwie artystycznym zachwytem.

Tymczasem konie biegły rączo. W dwie godzi-

ny po wyjeździe z Lublina, lokaj, siedzący na koźle, zwrócił się do niego i powiedział:

— Jesteśmy na granicy Zahajec. Za kwadransik zobacz już pan pałac... za górka na prawo.

I rzeczywiście w kwadrans potem faeton zjeżdżał powoli z góry po krętej drodze na ładny most murowany, rzucony nad strumieniem, a za mostem i za monumentalną bramą, w pośród starego, wspaniałego parku, przy okrągłym trawniku, rozścielającym się na znacznej przestrzeni, niby kobierzec olbrzymi, ujrzał wielki, ciekawej struktury budynek piętrowy, z czterema wysokimi filarami, wybiegającymi naprzód i tworzącymi wygodny, szeroki podjazd.

Gdy powóz pod nim się zatrzymał, Piotr wyskoczył lekko przed wielkimi, mosiadzem okutymi drzwiami, na progu których stała księżna Sieńska, mile się do niego uśmiechając.

— Witam pana — rzekła, gdy malarz chwycił jej rękę i złożył na niej pełen szacunku pocałunek. — Musisz być zmęczony podróżą, a przytem bardzo głodny, bo na stacyi w Lublinie, zwłaszcza z rana, o wczesnej porze, nie prawdopodobnie do zjedzenia nie dostałeś...

— W istocie, nie jadłem...  
— Więc Jakób zaprowadzi pana naprzód do przeznaczonych dla niego pokoi i pomoże ci się rozgościć, poczem zaś sprowadzi na dół. Siadziemy razem do śniadania, które wszyscy i zawsze spożywamy po wiejsku, o wpół do jedynastej...

Lekkiem, ale bardzo uprzejmem skinieniem głowy pożegnała przybyłego, oddalając się do parku, Piotrus zaś, prowadzony przez służącego, wchodził po szerokich, kamiennych schodach na pierwsze piętro.

Apartamencik, który artysta miał zamieszkać, składał się z sypialnego pokoju i saloniku. W tym ostatnim, prócz oszklonej szafy, wypełnionej dziełami klasyków i wielkich polskich poetów romantycznych, leżały na stole wszystkie najnowsze utwory naszych znakomitych powieściopisarzy dzisiejszych, tudzież polskie i zagraniczne czasopisma ilustrowane.

Promienie słoneczne, wpadające przez rozwarte okna do obu pokoi, napełniały je wesołością i życiem. Łamały się w bronzach i w politurze starych mahoniowych mebli w stylu pierwszego cesarstwa; ślizgały się po jasnych obiciach ścian; igrały w porcelanie i szkłe na umywalni.

— Jak tu pięknie! spokojnie! błogo! — myślał syn Złotej Rączki i Czupiradła. — Ach, czy to tylko nie senne marzenie!

Chłodna woda, w której się mył, orzeźwiła go i zmusiła uwierzyć w rzeczywistość rozkoszy, jakiej doznawał. Jakób wydobyl z kosza nową garderobę młodzieńca, który, ubrawszy się szybko, zbiegł wraz ze służącym na parter do salonu.

Czekała w nim na gościa księżna, lecz tym razem już nie sama.

W framudze otwartego na ogród okna siedziała panienka, przedziwnej, niezwyklej piękności. Wydała się ona w pierwszej chwili artyście nadprzyrodzoną, olśniewającą wizją. Nigdy jeszcze — prócz Grazielli, poczytywanej przez niego za najdoskonalszy model, jakiego malarz pragnąć może — nie spotkał Piotr w życiu tak uroczej, tak skończenie pięknej istoty.

Zosia, siedząca na wysokim krześle, z wzrokiem utkwionym w kanwę robótki, podniosła głowę, a oczy jej błękitne skrzyżowały się z oczami zachwyconego jej widokiem młodego człowieka.

— Moje dziecko, przedstawiam ci pana Piotra Bułata — powiedziała księżna. — Jest to utalentowany malarz, którego pan Filip Glenmour nam przysłał z Warszawy. Ma on przyozdobić drewniane ściany wielkiej sali malowidłami własnej inwencji. Liczę na ciebie, droga Zosiu, że go zapoznasz z moimi upodobaniami i uprzedzeniami w sztuce.

— Księżna nie zachwyca się sztuką nowoczesną — szepnęła Zosia słodkim głosem.

— A czy wolno zapytać, który z kierunków najbardziej się podoba księżnej pani? — rzekł Piotr ośmielony dobrocią, malującą się na twarzach poważnej matrony i ślicznej panienki.

— Stara szkoła wielkich mistrzów włoskich i holenderskich — odpowiedziała ostatnia.

— I ja wielbię starych mistrzów, sądzę jednak, że każda epoka powinna mieć w sztuce właściwy sobie wyraz i charakter, więc, korzystając z tradycyjnych zdobyczy przeszłości, starać się musimy jednak o nadawanie utworom naszym znamion dzisiejszych czasów. Piękno i prawda są jedynymi celami i zadaniami sztuki, ku którym wszyscy prawdziwi artyści zdążali niegdyś... i dziś jeszcze zdążać pragną.

— Bylebyście nie wpadali w parodię piękna i karykaturę prawdy — odparła księżna — jak to czyni wielu pseudo-reformatorów dzisiejszych, pozujących na wielkość, chociaż są tylko bardzo miernymi rzemieślnikami, pokrywającymi pospolicą swoją techniką i ekscentryczność wysiłonej inwencji szumnymi frazesami o nowych kierunkach. Reklama im sprzyja i reklama nad poziom ich wynosi; lecz zobacz pan, że za lat kilkadziesiąt a może nawet kilkanaście, zdrowy rozum i szlachetne poczucie piękna odzyszczą utracone prawa, a wtedy, z pośród mnóstwa dziś przechwalanych talencików i gieniuszków pozostanie zaledwie kilku, którym przyszłość przyzna cel i uznanie, jakie należy się tylko rzeczywistym talentom i gieniuszom.

— Nie podzielam twego zdania, droga ciociu — rzekł Jerzy, który wraz z dzwonkiem, zapowiadającym śniadanie, zjawił się nagle w salonie.

— Czy podsłuchiwałeś pod drzwiami?

— Broń Boże! lecz wchodząc tu, jak zwykle przez nikogo nie spostrzeżony, słyszałem, jak wypowiadałaś zacofane swe przekonania o sztuce.

— Więc nie podzielasz mego zdania?

— Stanowczo nie dzielam. Jestem duszą i ciałem modernistą i cenię tylko nowoczesne kierunki, tak w sztuce, jak w literaturze.

— To znaczy, że w treści lubisz blichtr, rażący oczy, a w środkach modną brutalność.

— Blichtr i brutalność posiadają także swoje zalety i rację bytu! — To mówiąc, zwrócił się do wychowawcy księżnej i zapytał: — A pani, panno Zofio, co nam powiesz w tym względzie?

— Nic, bo nie znam się na malarstwie, więc wyrokować nie mam prawa — odpowiedziało dziewczę. — Zresztą, lubię wszystko, co mi się pięknem wydaje, czy dzieło należy do starej, czy nowoczesnej szkoły.

— Wypadałoby jednakże wyrobić sobie smak jaśniej określony, bo pani, jak słyszę, masz kierować artystą, który dziś przybył do Zahajec — rzekł Jerzy, uśmiechając się ironicznie i patrząc z ukosa na Piotra.

— O, za nic na świecie nie ośmieliłabym się narzucać panu Bułatowi moich nieudolnych rad i wskazówek.

— Co nie przeszkadza, że jedynie rady i informacje pani wysłuchane będą, bo ciocia to tylko uzna za dobre, co zyszcze pani aprobatę i pochwałę.

Szyderstwo i gniew tętniły w wyrazach młodzieńca, chociaż mówił z pozornie miodową uprzejmością. Zofia go rozumiała, odczuwając, jak wiele podstępnej złośliwości mieści się w każdym jego słówku. Na szczęście przybycie marszałka dworu, zawiadamiającego „księżną panią, że śniadanie podane“, przerwało rozmowę, przybierającą ton zgryźliwej i gorzkiej polemiki.

Po śniadaniu Piotr prosił o pozwolenie zwiedzenia parku, zanim zabierze się do roboty.

Czuł, że dekorując główną salę w pałacu, musi przejąć się wrażeniami otoczenia, zwłaszcza, że ułożony niegdyś przez słynnego ogrodnika plan kłobów, szpalerów, alei, dróg i ścieżek w parku, dostrajał się wraz z gmachem do harmonijnej i stylowej całości.

Przechadzając się w cieniu lip stuletnich, przypominał sobie wszystkie szczegóły swego do Zahajec przybycia. Więc naprzód: łaskawe powitanie go przez księżną na progu pałacu; dalej rozkosz, sprawioną widokiem dwóch ładnych i wesołych pokoi, jakie mu wyznaczono na mieszkanie; potem przedstawienie się dziwnie pięknej osobie, przemawiającej do niego życzliwie; wreszcie wspólna konwersacja przed śniadaniem i przy śniadaniu — w której niesympatycznym kontrastem z wszystkimi był tylko hrabia Wielogrodzki, pod każdym względem dlań niemiły, równie całą swą arystokratycznie zmanierowaną figurą, jak tonem głosu i sposobem wyrażania swych przekonań i poglądów. Jerzy, chociaż młody, przystojny, wykształcony i inteligentny, stanowczo mu się nie podobał, postanowił zatem widywać go, o ile się da najrzadziej, a nawet spotykania się z nim — jak ognia unikać.

Po południu zabrał się Piotr do pracy. Żwawym rozmachem pędził naszkicować kilka projektów do *panneaux* wielkiej sali, którą naprzód obejrzał i zbadał dokładnie. Przedstawił je do oceny i uznania tak księżnej, jak Zosi.

Pokazało się, że chociaż modernista, rysuje poprawnie, jak człowiek, który uczył się rysunku u jednego z mistrzów ubiegłej epoki, maluje zaś równie śmiało i efektownie, jak najlepszy z nowoczesnych artystów. Zaraz nazajutrz, po wybraniu przez panie paru szkiców, zaczął nakładać tła na